

Ostatnia droga...

Dokończenie ze str. 5.

Dziś, choć w większości kondukt przemierza tylko drogi cmentarne, wszystko odbywa się jakby naprędce, bez tej wewnętrznej zadumy, refleksji, namaszczenia, odnosi się czasami wrażenie, że trzeba to „odfajkować”, bo tyle spraw mamy jeszcze do załatwienia...

Zmarłego nie żegnają już dzwony, odchodzi w ciszy i pośpiechu do swojej kwatery, często, zwłaszcza na nowych cmentarzach, wciśniętej między inne groby, na cmentarnej betonowej pustyni, bez drzew (bo liście spadają na pomniki), bez śpiewu ptaków (bo mogą nabrudzić), bez dostatecznego miejsca dla żywych, którzy będą do niego przychodzić.

DLACZEGO NIE BIJĄ DZWONY?

To pytanie jakiś czas temu zadał nam, przebywający obecnie w Niemczech, a mieszkający w Szklarcze,

czytelnik. A odpowiedź jest banalnie prosta - dzwony nie biją, bo zwyczaj ten, jak wiele we współczesnym świecie, po prostu zanika. Zanika w ogóle wszelka duchowość i to, co dla ducha jest przeznaczone; sprawy ciała i materii wypierają wszystko, co z duchem jest związane. Ta sfera życia powoli umiera...

O dzwonach słów kilka

Wraz z chrześcijaństwem przysłały na nasze tereny dzwony, które na dobre zrosły się z polskim pejzażem. To one stały się z czasem świadkiem największych wydarzeń historycznych, religijnych, towarzysząc koronacjom i pogrzebom królewskim. Ich dźwięk - zwłaszcza w średniowieczu - regulował rytm dnia i nocy, zaś w klasztorach obwieszczał modlitwy na liturgię godzin. Zwoływał wiernych do kościoła, zapraszał na pogrzeb, ostrzegał przed niebezpieczeństwami. Niegdyś także odlewano specjalne dzwony, któ-



Dzwonek za konających na ścianie klasztoru reformatów w Krakowie (źródło - Wikipedia)

rych dźwięk miał łamać złowrogą siłę burz - dzwoniono w nie, gdy nadciągała nawałnica, modląc się wówczas o odwrócenie gniewu Bożego i wszelkiego zła od miasta. Wierzone, że demony, zamieszkujące powietrze, są odpowiedzialne za zarazy, epidemie i burze, dlatego tak istotnym był dźwięk konsekrowanego dzwonu.

Głos dzwonu traktowano jako święty, stąd określenie: tuba Dei -

trąba Boża, lub powiedzenie: „dzwon przemówił”. W brzmieniu dzwonu dopatrywano się głosu biblijnych tręb anielskich. Zwoływał on urzędników miejskich na posiedzenie, obwieszczał wypędzenie szkodliwych osób z miast, sygnalizował pożar...

Dzwonom „powszednim” - nadawano odpowiednie nazwy m.in.: pożarowy, sadowy, niedzielny. Symbolika dzwonów wiąże się również z upamiętnieniem znaczących wydarzeń: „Dzwon Pokoju” w Hiroszimie (1949 r.) czy wybitnych osób - „Dzwon Zygmunta”, ku pamięci króla Zygmunta Starego. Jest on wyjątkowy dla nas - Polaków. Jego dźwięk rozbrzmiewa tylko w najważniejszych dla Ojczyzny momentach.

Dzwonek „za konających”

Jeszcze przed przeszło stu laty panował zwyczaj dzwonienia jednym niewielkim dzwonkiem podczas agonii bądź już po zgonie. Dzwonki za

umarłych towarzyszyły godzinie konania. By skrócić męki umierającego, nie tylko zanoszono przy jego łóżku modły, ale dzwoniono też tym niedużym dzwonkiem, wiszącym kiedyś przy każdym kościele. Nazywano go dzwonkiem „za konających”. Umierający w cierpieniach prosił bliskich, aby posłano do najbliższego kościoła z błagalną prośbą o zadzwonienie w ten mały dzwoneczek.

Do dziś są w Polsce miejscowości, gdzie „dzwoni się zmarłemu” rano, w południe i wieczorem do dnia pochówku. W dawnej Polsce w niektórych miejscach, w czasie pogrzebu uderzano w dzwon tyle razy, ile lat miał zmarły, a w czasach mniej odległych, które wielu z nas pamięta, żałobny dźwięk dzwonów kościelnych rozlegał się na każdym pogrzebie.

Niestety, zwyczaj żegnania zmarłego dzwonami powoli zanika. Już tylko w nielicznych parafiach w Polsce towarzyszy on konduktowi oraz zmarłemu w jego ostatniej drodze. Szkoda...

Z szuflady „Czasu”

Ten tekst, przesłany przez anonimową czytelniczkę, opublikowaliśmy w 2006 roku. Teraz przypadkowo trafiliśmy na niego ponownie. Chyba wart jest przeczytania po raz kolejny...

NA GROBIE NIEZNAJOMEJ

Miałam 20 lat, kiedy umarła moja matka. Był to pierwszy cios, jaki mnie spotkał w życiu i myślałam, że nigdy się już nie podźwignę. Jednak w miarę upływu miesięcy stopniowo godziłam się z tym, co nieodwracalne. Kiedy nadeszła wiosna, potrafiłam się nią znów cieszyć.

Z początku odwiedzanie grobu mamy było dla mnie za każdym razem bolesnym przeżyciem. Ale z czasem coraz mniej myślałam o jej

cierpieniach podczas ostatnich miesięcy i o tamtym strasznym poranku.

Pielęgnując grób mamy i strojąc go kwiatami, uwalniałam się od bolesnych wspomnień.

Mijały lata. Podobnie jak moje rodzeństwo wyprowadziłam się z miasta, w którym się urodziłam i spędziłam młodość. Moja rozproszona rodzina spotykała się tylko podczas świąt, szczególnie w Święto Zmarłych na cmentarzu. Ojciec

mieszkał ze mną przez wiele lat, aż do późnej starości. Teraz, kiedy on także spoczywa pod płytą z białego marmuru, jeszcze chętniej odwiedzam cmentarz. Jeżeli tylko mogę, idę do moich bliskich w pogodne, słoneczne dni. Kiedy porządkuję ich grób, w myślach jestem znów razem z nimi. Panująca na cmentarzu cisza daje niezwykle poczucie spokoju i ukojenia.

Kiedyś zwróciłam uwagę na skromny grób w pobliżu. Wyróżniał się niezwykle prostą pośród okazałych nagrobków z marmuru i granitu. Porastał go bluszcz, a zdobił jedynie prosty, ręcznie wykonany drewniany krzyż, na którym wypisano nazwisko. Pochowana tu kobieta przeżyła 22 lata.



Ilekość przychodziłam na cmentarz, grób był starannie uprzątnięty i zadbany. Zastanawiałam się nad losem kobiety, która zmarła tak młodo.

Pewnego dnia zobaczyłam odchodzącego od grobu starszego pana. Pomyślałam, że pewnie przyszedł na grób żony.

Któregoś razu, kiedy robiłam na cmentarzu porządku przed Świętem Zmarłych, znowu zauważyłam tego mężczyznę. Był wysoki, lekko przygarbiony. Pozdrowiliśmy się skinieniem głowy, nie przerywając pracy. Zauważyłam, że nie ma odpowiednich narzędzi do uprzątnięcia grobu, więc zaproponowałam mu swoje. W tej sytuacji naturalnym wydawała się czymś naturalnym. Zapytałam, czy to grób.

- Mojej matki - odparł. - Umarła młodo. Miałem wtedy zaledwie półtora roku. Tak naprawdę nigdy jej nie poznałem. Zrobiłem dla niej ten krzyż i litery. - Nikt prócz mnie nie przychodzi na jej grób, bo byłem jedyńikiem - dodał po chwili. - Umarła na zapalenie płuc. Ojciec powtórnie się ożenił, a macocha dbała tylko o swoje dzieci - moje przyrodnie rodzeństwo.

- Przychodziłem tutaj, kiedy było mi smutno i kiedy było mi wesoło - dodał po chwili. - Potem życie rzuciło mnie daleko stąd, ale nigdy nie zapomniałem o tym grobie, bo dla mnie jest tym, czym dla innych dom rodzinny. Zawsze wracam tu jak do domu. Co raz trudniej mi tu bywać, ale dopóki jeszcze nogi mnie noszą, co najmniej dwa razy w roku odwiedzam matkę.

Jestem już po osiemdziesiątce, więc kto wie, jak długo jeszcze będę mógł to robić.

Słuchałam w milczeniu, oszołomiona. Zakreśliły mi się w oczach łzy. Mnie jest dużo łatwiej, pomyślałam, w każdej chwili mogę sięgnąć w pamięci po radosne lub smutne wspomnienia, które tysiącem nici wiążą mnie z rodzicami. A jakie wspomnienia może pielęgnować ten miły starszy pan? Czy nosi w myśli twarz ze starej wyblakłej fotografii? Ale nawet o tym, że to zdjęcie przedstawia jego matkę, musiał dowiedzieć się od innych.

Jak wielka jest miłość, która przez całe długie życie każe wracać na miejsce spoczynku młodej kobiety, której macierzyńskiej czułości nigdy naprawdę nie zasnął, a tylko zawsze czuł jej dotkliwy brak?

Pożegnaliśmy się. Czuję głębokie wzruszenie, wiedziałam bowiem, że otrzymałam wielki dar. Ten prosty, szlachetny człowiek pozwolił mi stać się powierniczką swojej miłości.

W drodze do domu myślałam o historii matki i syna. Postanowiłam, że jeśli kiedykolwiek na sąsiednim grobie pokażą się chwasty, powyrwam je tak jak z grobu rodziców. Wówczas już mój znajomy o dobrym sercu będzie pewnie oglądał te starania z góry. Tam wreszcie to postarzałe dziecko spotka się ze swoją młodszą mamą.

Czy uważacie, że moje zachowanie będzie nie na miejscu, gdy będę sprzątała i dbała o tamten grób?

POCHODZĘ Z GIŻYC, URODZIŁEM SIĘ WE FRANCJI, MIESZKAM W KATOWICACH...

Wspomnienia Józefa Morki

Część 3.

Oczekiwanie i lot do Paryża

W szpitalu zastaliśmy grupę dzieci, które tam pracowały i mieszkały. Dołączyliśmy do nich i zjedliśmy wspólnie kolację. Poinformowano nas, że będziemy spać w izbach chorych razem z nimi. Rozdzielono nas po salach i przydzielono łóżka piętrowe - pacjenci spali na dole, młodszy chłopcy wyżej, a na samej górze starsi chłopcy. Niektórzy chorzy brutalnie nas traktowali, w dzień nas bili, a w nocy budzili i również bili.

Każdy z nas otrzymał podręczną seledynową walizkę (na dalszą podróż), a w niej dwa małe ręczniki, mydło, szczoteczkę do zębów i mydło do mycia zębów. Oprócz tego każdy dostał tabliczkę wyciętą z szarego kartonu, była ona przywiązana sznurowadłem, a na niej wypisano imię i nazwisko dziecka oraz kogo, do którego się udaje (w moim przypadku - Morka Józef, Francja). Tabliczki te nosiliśmy od rana do wieczora zawieszane na szyi.

Szpital był nie tylko naszym domem, ale również miejscem pracy. Zatrudniano nas do prac porządkowych. Do naszych codziennych obowiązków należało: obieranie ziemniaków i warzyw, mycie naczyń,

sprzątanie terenu wokół szpitala, mycie łóżek po osobach, które opuściły szpital lub zmarły, wymiana lub uzupełnianie słomy w siennikach. Dla dzieci była to praca ciężka, ponieważ należało siennik wynieść do oddzielnego pomieszczenia, które znajdowało się w gruzowisku, następnie opróżnić siennik ze starej słomy, która często była przeopcona i cuchnąca, napełnić materac świeżą słomą i zanieść go do izby chorych. Pracę przy jednym sienniku wykonywało przynajmniej czterech chłopców.

Organizatorzy i opiekunowie zapewnili nam dobre warunki higieniczne. Dziewczynom i chłopcom głowy strzyżono na goło. Dziewczyny (w wieku 14-15 lat) bardzo to przeżywały.

Pewnego razu podczas kolacji powiedziano nam, że rano opuścimy Warszawę i samolotem polecimy do Paryża. Pod szpital podstawiono samochód ciężarowy należący do Wojska Polskiego, pochodził z demobilu armii amerykańskiej.

Po pożegnaniu się z pracownikami i pacjentami każdy zabrał swoją walizkę i w towarzystwie opiekunek z PCK weszliśmy do samochodu. Pojechaliśmy na lotnisko. Po długim oczekiwaniu na samolot, poinformowano nas, że lot do Paryża został odwołany. Wróciliśmy więc do szpitala i czekaliśmy...

Za kilka dni sytuacja się powtórzyła, ale tym razem lot się odbył.

Lecieliśmy dużym samolotem do transportowym, przystosowanym do działań bojowych. Na pokładzie, oprócz nas i obsługi, znajdowały się dwa duże silniki, zajmowały prawie cały pokład, każdy z nich mógł ważyć po kilka ton. Wzdłuż samolotu po obu stronach były miejsca siedzące, czyli długa jednolita drewniana ława z wyżłobionymi wgłębieniami dla pasażerów. Były to siedzenia przystosowane dla dorosłych, dla dzieci zdecydowanie za głębokie i za wysokie, nogi wisiły w powietrzu, a pasy bezpieczeństwa były tak szerokie, że zajmowały powierzchnię ciała od bioder po ramiona i całkowicie usztywniały tułów. Podróż w takich warunkach to była jedna wielka męczarnia.

Na początku podróży każdy z nas otrzymał puszkę po konserwie, do której w razie potrzeby można było zwracać. Samolot często wpadał w turbulencje, to było straszne uczucie, wydawało się, że żółdek zatyka gardło, co powodowało wymioty. Opiekunki opróżniały puszki w ubikacji, a potem ponownie nam je podawały.

Na bieżąco otrzymywaliśmy posiłki z paczek UNRRY (sucharki, orzeszki, czekoladki, konserwy, napoje).

Po siedmiogodzinnym, pełnym emocji i strachu locie, szczęśliwie wylądowaliśmy w Paryżu.